ROZMAITOŚCI.

Dnia 21 czerwca, Ner 25. roku 1845.

DZIECI GÓRALSKIE.

Coraz bliżéj rozlegały się dzikie okrzyki ludu: »Gerylas! Gerylas!« a w głosie i w spojrzeniach cisnących się ulicą tłumów, iskrzyła się radość spełnienia zemsty. Coraz bliżéj nadchodził orszak sądowy z winowajcą i zmierzał prosto na plac tracenia, gromadząc za każdym krokiem nowe kupy pospólstwa. Przybywszy na miejsce, rozsunął się tłum zgromadzony i utworzył małe koło próżnego miejsca. W pośrodku stał gerylas z chłopcem, mającym może lat szesnaście, który, jak się zdawało, był jego synem; obok niego znajdował się jakiś senor hiszpański z zasępioném obliczem; daléj stało kilku podrzędnych urzędników — i kat.

Popełniono niedawno wiele mordów w sąsiednich górach; między innymi zabito także syna wspomnionego senora, który miał nadzwyczajną wziętość u ludu w Burgos. Ogłoszono więc prawem odwetu, iż każdy schwytany gerylas — a nazywano tak lada zbójcę w Hiszpanii — natychmiast rozstrzélanym zostanie. Wskutego wyroku miał téż i nasz gerylas z chłopcem — których obudwóch o kilka mil za miastem Burgos pojmano — ponieść teraz publicznie karę śmierci.

Trudno sobie wystawić coś sprzeczniejszego nad różnicę, jaka między témi dwoma ofiarami spostrzegać się dawała. Gerylas, mężczyzna olbrzymiéj budowy ciała, o czarno zarosłém licu, o czarnych krótko strzyżonych włosach, miał tyle właśnie wyrazu zmyślności w twarzy, ile jéj było trzeba, aby nadać ruchu téj ciężkiéj masie kolosalnego ciała; w jego wzroku widać było nieukróconą śmiałość, jednak bez mściwości; przeciwnie chłopczyna miał białe, gładkie lica, kształtną i delikatną postać, ciemne w dużych lokach spływające włosy; twarz jego jaśniała wyrazem tkliwości i bystrém pojęciem, a przejęte zgrozą oko, spoziérało ze strachem to w tę to w owę stronę; jednę rękę wciskał gwałtownie w silną dłoń towarzysza, drugą trzymał go za ramię, i tulił się trwożnie do jego piersi.

Było coś tak ujmującego w téj grupie, iż po zatrzymaniu się orszaku na placu śmierci, gdy zgromadzone tłumy miały dość czasu spojrzéć na ofiary swéj nienawiści, cała dotychczasowa wrzawa uspokoiła się i przeszła w zupełną ciszę, trwającą przez kilka minut. Nareszcie wyciągnął gerylas ku ludowi rękę:

»Bracia i chrześcijanie!« zawołał — lecz w tejże chwili okrzyki złorzeczenia zagłuszyły dalsze słowa.

»Związać go, związać!« zagrzmiało z ust tysiąca.

Widząc iż nie może zyskać posłuchania, uciekł się do migów, i zaczął wyciągniętą ręką wskazywać na chłopca, poczém wodząc wzrokiem wokoło, i znowu na chłopca spoziérając, zdał się dość wymownie tłumaczyć, co chciał powiedzieć. Niesforna tłuszcza uspokoiła się znowu, i znowu nastała głucha cisza.

»Zwiążcie mię!« rzekł gerylas. »Zwiążcie mię i straćcie, jeżeli chcecie. Zasłużyłem na waszą zemstę i będę umiał znieść ją. Ale pocóż wywierać złość na dziecku? Wywiérać ją na chłopcu, który wam nic nie przewinił? Nie jest on gerylasem, ani

téż synem gerylasa. Jego rodzice pomiędzy wami żyją. Burgos jego rodzinném miejscem.«

Na te słowa pojawiły się pomiędzy ludem oznaki litości, wahania się i zwątpienia; aż wkońcu jedno słowo, wyrzeczone usty człowieka, który zdał się być niejako przewódzcą tłumu, obudziło nanowo piérwsze uczucia niechęci, oburzenia i zemsty.

»Antonio!« było to słowo — z kilku tylko wprawdzie głosek się składające, lecz wymówione tonem stanowczego, niecofniętego, nieprzebłaganego wyroku. Tysięczne usta zagrzmiały echem tego wyrazu. »Antonio! Antonio!« rozlegało się w powietrzu. Byłoto imię zamordowanego przez zbójców syna senora. »Związać ich! Wieszać!« wrzeszczał tłum zemstą uniesiony. Kat spojrzał zapytującym wzrokiem na senora. Senor skinął w znak przyzwolenia, a kat przystąpił natychmiast do chłopca, aby go związać. Chłopiec nie stawiał najmniejszego oporu, lecz wlepił trwożne wejrzenia w gerylasa. Gerylas spojrzał na chłopca, lecz wzrok jego był spokojny jak wprzódy.

Już kat prawie zupełnie był chłopca związał, gdy gerylas nagle »Stój!« krzyknął, a kat mechanicznie opuścił ręce i wpatrzył się zdziwiony w gerylasa. Tożsamo uczynił także senor. Wszyscy zdali się być zelektryzowani głosem, jakim gerylas to jedno słowo wymówił.

»Czy jest kto w Burgos,« — ozwał się gerylas znowu tymsamym głosem — »czy jest kto w Burgos, coby przed szesnastą laty stracił, był córkę, mającą rok lub dwa lata?«

Usłyszawszy te słowa, podniósł się senor w górę i spojrzał na gerylasa wzrokiem, w którym się najgwałtowniesze wzruszenie i najprzenikliwsza ciekawość malowały. »Co powiedziałeś?« zapytał.

»Co powiedziałem?« mruknął gerylas, i powtórzył poprzednie zapytanie.

»Tak jest, jato straciłem,« — rzekł senor — »szesnaście lat temu, córkę, mającą dwa lata wieku. Czy wiész co o tém dziecku?«

»Wszakże słyszysz, że wiém.«

»I cóż wiész?«

»Rozwiążcie chłopca!« odrzekł gerylas, stojąc spokojnie z zakrzyżowanémi na piersiach rękoma.

»Żyjeż ona?« zapytał gwałtownie senor.

»Rozwiążcie chłopca!«

»Czy wiesz, gdzie się znajduje?« nalégał senor z wzrastającą niecierpliwością.

»Rozwiążcie chłopca!«

»Łotrze!« krzyknął z wściekłością senor. »Każę cię wziąć na męki.«

Głośny śmiéch był jedyną odpowiedzią gerylasa, i znowu »Rozwiążcie chłopca!« powtórzył. Nagle uspokoiła się zniewaga i niecierpliwość senora. Wzrok jego, utkwiony namiętnie w gerylasa, nabrał wyrazu niejakiego szacunku i podziwienia, które i zgromadzona ludność podzielać z nim się zdawała. Chłopczyna nie spuścił oka ze swego towarzysza, stojącego na rusztowaniu z szyderczym uśmiechem jakby wyciosany posąg. Nastąpiła grobowa cisza, trwająca przez kilka minut.

»Rozwiążcie chłopca!« ozwał się wreszcie senor. Spełniono rozkaz jego. »A teraz mów!« rzekł senor do gerylasa.

»Oddal nas ztąd!« odpowiedział spokojnie tenże.

»Czy sobie żartujesz ze mnie?« krzyknął senor z nowém uniesieniem niecierpliwości.

»Nie;« odparł obojętnie gerylas. »Wszak wiesz, że nie żartuję. Wiész, że przed szesnastą laty wykradziono ztąd dziécię, dziewczynę dwuletnią, która jest twoją córką. Możesz więc wnosić, iż wiedząc tyle, wiém także i resztę — wiém wszystko. Mogę téż wszystko odkryć, i chcę to nawet uczynić, ale nie w tém miejscu. Zabierz mię z sobą do domu. Tam i tylko tam jedynie, wyjawię ci tajemnicę, która cię uszczęśliwi. Będzie to także wielka radość dla ludu z Burgos, u którego jak widzę, w niemałém jesteś poważaniu.«

Senor spojrzał pytającym wzrokiem wokoło siebie, jakgdyby chciał się dowiedzieć, jaka jest wola ludu. Lud go zrozumiał.

»Daruj mu życie. Zabierz go z sobą!« wołano zewsząd.

Senor, w towarzystwie gerylasa i chłopca, otoczony częścią pospólstwa, udał się śpiesznie do domu. Po kilku chwilach siedzieli wszyscy trzéj w gabinecie senora.

„I cóż więc powiesz?" zapytał senor.

„Jeszcze nie teraz!" odrzekł gerylas.

»Czy myślisz mię oszukiwać?» rzekł surowo senor.

„Nie," — odpowiedział gerylas — „lecz muszę się namyślić — muszę rozważyć — a to wymaga czasu. Przy tém muszę sobie także pewne warunki zastrzedz — a to wymaga zastanowienia i ostrożności. Na ten raz mogę ci tylko tyle powiedziéć: Twoja córka żyje. Miejsce jéj pobytu jest mi wiadome. Znajduje się tam w zupełném bezpieczeństwie. Mogę ci ją powrócić i uczynię to chętnie. Musisz jednak pozwolić, abym co do czasu i miejsca zwrócenia ci twojéj córki, zupełnie moją własną mógł się kierować wolą. Jeżli nato zezwolisz, przyrzekam ci skończyć tę całą sprawę w tygodniu. Lecz zważ to sobie senorze, i pamiętaj dobrze co ci tu powiém. Twoja córka jest mi zakładem za moje i mego chłopca życie; bacz tedy pilnie by się nam nic nie stało. A oraz daj nam przyzwoite utrzymanie. Przyjm nas jak swoich gości i jako takich uczęstuj u swego stołu. Nie myśl bowiem, abyśmy z czeladzią do jadła zasiadać mieli. Nasze miejsce tam będzie, gdzie ty zasiadasz. Jestto zaiste najmniejszy dowód grzeczności, jaki słusznie winien jesteś okazać ludziom, którzy z narażeniem własnego życia przybyli tu do Burgos, aby ci twe jedyne dziécię powrócić."

Senor siedział milczący, w zadumieniu. Czasami tylko zmierzył kolejno gerylasa i chłopca od stóp do głowy. Gerylas patrzył nato obojętnie i nic nie mówił; w końcu jednak parsknął serdecznym śmiéchem i rzekł:

»Twoi goście winni są zapewne swoim nbogim sukniom to badawcze powitanie, jakiém nas tu przyjmujesz. Nic to nie szkodzi! Jestto zwykły tryb świata, a niéma nic naturalniejszego, jak czynić, co świat czyni. Dusze ludzkie nie powinneby mieszkać w naszych ciałach, lecz w sukniach naszych, okrywających te ciała. A przecież sam nieraz na moje oczy widziałem, jak nawet najpyszniejszym aksamitem odziana ręka, bardzo licho robiła szablą naprzeciw drugiéj szabli, którą tylko w szorstką, bawolą skórę ubrane ramię działało. Mniejsza o to, senorze. Nie zważaj na nasze suknie. Jutro będziemy gotowi zasiąść z tobą u stołu. Dziś przestaniemy na osobnym obiedzie. Byleś tylko rozkazał, aby nas tak podjęto, jak na twoich gości przystoi. Czyżto nie przynosimy dobrych wieści do Burgos — i to jeszcze z niebezpieczeństwem gardła!"

Senor ani się ozwał, ani się ruszył z miejsca, i siedział wciąż z wlepioném spojrzeniem w gerylasa, który mu szyderczym uśmiechem odpowiadał. Nagle zerwał się gerylas. Senor uczynił tożsamo prawie mimo woli.

„Senorze," — rzekł gerylas dobitnie, rozkazującym głosem — „senorze, jesteś lub nie jesteś ojcem dziewczyny, którą przed szesnastą laty w Burgos skradziono? Jeżli nim jesteś, a chcesz aby ci dziécię powrócone zostało — tedy powiedziałem ci co masz czynić. Przystań nato albo nie, jak ci się podoba. Wyznacz mi czas, którego potrzebuję, i stosowne przez ten czas utrzymanie; jeżli nie — tedy idę w téj chwili na rusztowanie! Lecz pomnij, iż życie twojéj córki od mojego i mego chłopca bezpieczeństwa zawisło!"

„Odpowiédz mi na jedno zapytanie!" przejął senor.

„Odpowiém ci na wszystkie, kiedy czas będzie!"

„Tylko to jedno — czy ma ta dziewczyna jakie znamię na ciele?"

Gerylas szepnął senorowi coś do ucha.

Senor rzucił się znowu w krzesło, i siedział tam pochylony w boleści, wziąwszy się obiema rękami za głowę. Gerylas stał przed nim, z badawczym wzrokiem, jakgdyby chciał jego dojrzéwające postanowienie przeniknąć.

»Alfonso!" zawołał gerylas. Chłopiec spojrzał na gerylasa.

„Przystaję na wszystko, co tylko żądasz!" ozwał się śpiesznie senor. „Jak się nazywasz?"

„Nunez."

„A chłopiec?"

„Wszakżeś właśnie słyszał — Alfonso."

„Dobrze; będziesz miał wszystko, co zechcesz."

Odtąd obchodzono się z gerylasem i jego chłopcem jako z przyjaciołmi senora. Nazajutrz rano zamieniono ich strój góralski na zwyczajne suknie szlachty hiszpańskiéj. Ich łoża były najmiększe ze wszystkich, jakie się tylko w pałacu senora znajdowały; jedli przy tym samym stole co i sam senor, i odbiérali od służby te same oznaki poszanowania, jakie panu czyniono.

„Senorze," — rzekł gerylas na drugi dzień, siedząc jeszcze po skończonym obiedzie przy stole — „dotąd powiedziałem ci dopiero połowę sprawy, która mię do Burgos sprowadziła. Druga połowa, o któréj cię mam zawiadomić, ściąga się do rzeczy przykrych dla ciebie. Chceszże mię posłuchać?"

Senor skinął w znak zezwolenia. Gerylas mówił daléj:

»Byłem zawsze nieprzyjacielem wszelkich gwałtownych czynów; karałem tych, co się ich dopuszczali. Przypadek zdarzył, iż byłem właśnie opodal, gdy syna twojego napadnięto; wołałem na łotrów, aby go ochraniano; widząc zaś że rozjątrzeni jego walecznym oporem, śmiercią mu zagrażają, pośpieszyłem mu co prędzéj na ratunek; lecz było już za późno. Otrzymał kilka ran niebezpiecznych. Zaniosłem go do mojego mieszkania,

gdzie nazajutrz ducha wyzionął. Przed śmiercią napisał z wielką trudnością ten oto list do ciebie.”

To mówiąc dobył gerylas małéj kartki z zanadrza i wręczył ją senorowi, który spojrzawszy na napis, wyszedł nagle z pokoju. Po długiéj dopiéro chwili wrócił, a przystąpiwszy do gerylasa, wziął go w milczeniu za rękę, i nie mówiąc słowa, uścisnął ją serdecznie.

„Mój syn — będący przy owym napadzie..” przemówił gerylas znowu.

„Więc masz jeszcze jednego syna?” przerwał mu senor.

Gerylas ciągnął rzecz daléj, nie zważając na zapytanie senora: „Mój syn, będący przy owym napadzie, otrzymał także ranę wskutek stawania w obronie twojego syna. Czeka on co chwila, abym mu kazał przybyć do Burgos. Czy zechceszże mu bezpieczeństwo życia i osoby zaręczyć, gdy tu przybędzie.”

„Najchętniéj!” odrzekł senor.

„Poszlę więc natychmiast po niego;” odrzekł gerylas.

„Proszę cię o to. A powiedz mu, niech tu prosto przychodzi; będzie przyjętym jak w domu.”

Od téj chwili zamieniła się znajomość gerylasa i jego chłopca z senorem w istotną przyjaźń. Zdawało się jakgdyby wszyscy w domu, tylko o uprzyjemnieniu im teraźniejszego pobytu ich myśleli. Czwartego dnia wyprawił im senor ucztę, na którą najznakomitszych przyjaciół i znajomych zaprosił.

Oprócz gerylasa i jego chłopca znajdował się na téj uczcie jakiś młody Włoch, mający około dwudziestu pięciu lat, wprowadzony tu przez jednego z przyjaciół domu. Powierzchowność tego młodzieńca była ujmująca, prócz nieprzyjemnego wrażenia, jakie jego nadzwyczajne czarne, małe, iskrzące się oczy sprawiały. W ciągu całéj wieczerzy siedział naprzeciw gerylasowego chłopca, którego łagodnością i dobrocią odznaczająca się postać, była nieustannym przedmiotem badawczego wzroku młodego Włocha. Lecz piękny chłopczyna nie był wcale rad temu, i odpowiadał na przymilenia Włocha spojrzeniem, w którém się najzimniejsza obojętność a nawet niechęć widocznie okazywała. Czynił to jednak w ten sposób, iż nikt z towarzystwa nie uważał téj niemej konwersacyi.

Po wieczerzy porozchodzili się goście dla oddania się rozmaitym rozrywkom. Jedni grali w bilar, drudzy do kart usiedli, inni zabawiali się muzyką. Pomiędzy ostatnimi był też i chłopiec gerylasa, i ów Włoch młody, który z osobliwszą natrętnością na krok go nie odstąpił, a teraz zbliżywszy się do niego, chciał koniecznie rozmowę z nim prowadzić, chociaż tamten widocznie od niego stronił, i tylko półsłówkami go zbywał. Gerylas siedział na boku z senorem i toczył jakąś ważną, jak widać było, rozmowę.

Prześliczna aryja Mozarta zabrzmiała na salonie. Wszyscy byli zachwyceni jéj melodyją. Nawet młody Włoch zaprzestał na chwilę nudzić chłopca, gdy tenże stojąc przy oknie, wykrzyknął nagle i wybiegł z pokoju. Wszyscy przystąpili do okien, aby obaczyć, co takie wrażenie na nim sprawiło. Na ulicy widać było przy pochodniach straż miejską, prowadzącą ku pałacowi jakiegoś młodego gerylasa. Nim jeszcze młodzieńca do progu pałacu doprowadzono, już się rzucił nasz chłopiec w jego objęcia.

„Biédni bracia!” zawołał senor rozrzewniony. Wszyscy zbiegli do dolnéj sali, gdzie przybyły młodzieniec i chłopiec jeszcze powitanie swoje serdecznym całunkiem i uściskiem powtarzali. Szczególnie chłopiec prawie od zmysłów z radości odchodził. Obaj patrzyli sobie namiętnie w oczy, jakgdyby ich dusze chciały się wydobyć oczyma, i ścisnąć się tak mocno, jak się ich ciała ściskały. Było to najpiękniejszy obraz powitania się po długiém niewidzeniu. Szczególnie chłopiec nie wiedział co ma czynić, ściskał nieustannie młodzieńca, całował mu czoło, oczy, lica i włosy, śmiał się, płakał, i szeptał jakieś niezrozumiałe słowa radości; ledwie go oderwano od młodzieńca.

Różne były uczucia obecnych téj scenie osób. Senor płakał jak dziecko. Włoch patrzył ponuro, jakby nie wiedział, co to znaczy łzę uronić. Na smagławe jego oblicze zatoczyła się chmura, któréj złowrogie połyski wewnętrzną burzę objawiały. Okazywane przez chłopca namiętne przywiązanie przejmowało go jakimś niepojętym wstrętem do przybyłego młodzieńca. Grom nienawiści błyskał z jego oczu. Reszta towarzystwa brała najżywszy udział w widoku bratniéj miłości. Stojący opodal gerylas przypatrywał się hardo lecz w zadumaniu obojgu dzieciom.

Po chwili wrócili goście do górnego salonu. Młodzieniec podał jakiś papiér gerylasowi. Gerylas odszedł na bok i przeczytał z natężoną uwagą. Młodzian i chłopiec siedzieli przy sobie, wpatrzeni jeden w drugiego, nie zważając na nic, co się wokoło nich działo. Zatopieni w jakąś słodką rozmowę, zdawali się tchnienie z tchnieniem połączać, nie spuszczali na chwilkę oka z siebie, aż jakieś ciężkie westchnienie, a prawie jęk przytłumiony, skierował wzrok młodzieńca w przeciwną stronę. Tam naprzeciw ujrzał młodego Włocha, który śledząc ich pilnie, starał się uchwycić treść ich rozmowy. Błysk ognistego oka młodzieńca był zanadto surową próbą dla Włocha — odwrócił się z udaną obojętnością i wyniósł się milczkiem z salonu.

„Karlos!” zawołał gerylas. Młodzieniec posko-

czył ku niemu. Mówili z sobą coś z cicha. Poczém zbliżył się gerylas do senora.

„Senorze,” — rzekł mu — „muszę opuścić Burgos. Oddalam się na dni dziesięć, przedłużając mimowolnie czas, który wyznaczyłem. Lecz zostawiam ci tych młodych w zakład. Ze względu na swoję córkę postarasz się o ich bezpieczeństwo i stosowne przez czas mojéj niebytności utrzymanie. Po upłynieniu dziesięciu dni, odzyskasz twoję córkę. Nie czyń mi żadnych wymówek; konieczność jest groźnym panem, którego przemoc najmniéj wtedy uczuwamy, gdy się jéj bez oporu poddajemy. Żądam aby, nim powrócę, Karlos mieszkał w moim pokoju, przytykającym do tego, w którym twoja uprzejma gościnność młodszego chłopca umieściła.”

Senor spoglądał wątpliwym wzrokiem na gerylasa i milczał przez chwilę, walcząc z sprzecznémi uczuciami. Nakoniec ozwał się do Nnneza:

„Stanie się wszystko jak żądasz. Kiedyż odjeżdziesz?”

„W téj chwili.”

„Mogęż spytać — dokąd?”

„Do Madrytu.”

„Do Madrytu?” powtórzył senor zdziwiony.

„Do Madrytu;” potwierdził gerylas obojętnie.

„Mogęż zapytać...”

„Senorze,” — przerwał gerylas — „wiész że jadę natychmiast, skoro tylko koni dostanę. Mam daleką podróż przed sobą; a czas, który ci wymieniłem, jest nader krótki.”

„Jeżeli zechcesz, odeszlę cię przez dwie pierwsze stacyje mojémi końmi;” rzekł senor i wyszedł z pokoju. Gerylas pogadał jeszcze kilka słów z chłopcem i z młodzianem, i oddalił się za senorem.

Po krótkiéj chwili był gerylas już w drodze do Madrytu. Porozchodzili się goście, a młodzian i chłopiec udali się do przeznaczonych pokojów. Senor siedział późno w nocy samotny w gabinecie i dumał. „Miałbym wielką ochotę,” — rzekł po chwili do siebie — „przyjąć którego z tych dwóch chłopców za syna! Jest w nich jakaś świeżość nieskażonéj natury, która mię niewymownym urokiem ku nim pociąga — aby tę grobową próżnię mego serca zapełnić! Prawda, że odzyskanie córki zadość uczyni moim życzeniom — lecz niestety, czuję że nie wszystkim. — Jakże byłem dumny z mego syna Antonia. O, syna miéć nie będę, chociaż odzyskam córkę! Cóżbym nie dał za to, aby ów starszy młodzian nie był synem gerylasa! Ale jestże on istotnie gerylasem? Jego chłopcy są braćmi; a przecież mówił do ludu, iż młodszy nie jest synem gerylasa, lecz iż z Burgos jest rodem. Jednakże jest on ojcem obudwóch, gdyż obydwaj są braćmi.” — A po długiém zadumaniu mówił daléj: „Śmierć jest wielką nauczycielką. Patrząc niegdyś na mego biednego Antonia, serce mi rosło z dumy nad tak szlachetnym szczepem mojego domu. Pyszniłem się w myśli świetném potomstwem, które on pozostawi. Teraz poznaję inne, nowe — i jak mi się zdaje — zacniejsze źródło pociechy w darach i zdolnościach, jakie zlewa natura. Ten Włoch np. jest szlachetnie urodzonym; a przecież jakże nikczemnie struchlał na jeden połysk gniewnego oka młodzieńca! Nie był wstanie znieść jego wzroku. Wykradł się chyłkiem z salonu i nie śmiał wrócić. Z zadziwieniem to uważałem. A jaką miłością ignie ów chłopiec do młodziana! Jak on wisi u jego oka! — Zdaje się, że jego tylko duszą istnieje! Dzieci miewają osobliwszą przenikliwość. Musi to być jakaś niezwykła, wzniosła dusza, która taką miłość i taką uległość wzbudza. Toby mi był wzór potomka krwi szlachetnéj! Jakże chętnie przyjąłbym go za syna — gdyby nie to piętno gerylasa, które na nim cięży — wszystko jedno czy to z urodzenia czy z przypadku.”

Tu jakiś krzyk z pobliża ocknął senora. Zerwał się i zaczął słuchać. Krzyk ozwał się powtórnie, a zarazem dał się słyszéć jakiś stuk w górnym pokoju. Byłto pokój w którym spał chłopiec gerylasa. Senor uchwycił świécę i pobiegł śpieszno na górę. Drzwi do sypialni były otwarte. Gdy wszedł, ujrzał na ziemi leżącego Włocha, przydeptanego nogą młodziana, który stał nad nim z założonémi rękoma i z wlepionémi w ubocz oczyma.

„Cóż to znaczy?” zapytał senor z niecierpliwością.

Młodzieniec nie odpowiadał i stał jak słup nieruchomy.

„Cóż to znaczy?” powtórzył senor gwałtownie.

Ani słowa — ani znaku odpowiedzi nie dał młodzian, i stał jak skamieniały.

„Cóż to znaczy?” przystępując do niego — zapytał senor po raz trzeci rozkazującym głosem, lecz nadaremnie.

Zdawało się jakgdyby młodzian był wszelką władzę mowy i ruchu stracił. Jakieś gwałtowne uczucie owładło go zupełnie. Groźna jego postawa nad obalonym Włochem świadczyła, iż wkrótce przedtém przemożniejsze miotało nim uniesienie, lecz teraz nie zostało mu ani śladu gniewu na twarzy. Cała jego dusza i postać były jedném pochłonięte uczuciem, które ogniem pałało z oczu. Idąc za śladem jego wzroku, spojrzał senor w kąt sypialni, gdzie stało łóżko, i osłupiał również z zadziwienia, — gdyż tam przy łóżku leżał mniemany chłopiec, omdlały na ziemi; — nocny ubior jego był na ramionach jakby siłą rozdarty, a z pod rozdartéj sukni — zamiast silnego karku młodziana — odsłoniła się pełna pierś pięknéj, dojrzałéj dziewicy.

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMOWA
MIĘDZY GÓRALAMI KARPACKIMI Z OKAZYI ZALECONEJ WSTRZEMIĘŹLIWOŚCI OD WÓDKI.

O horiwci.

STEFAN, IWAN. SAWA (później przychodzi).

STEFAN.
Sława ISUSU! kume Iwane.

IWAN.
Sława na wiki! brate Stefane.

STEFAN.
Szczo tam nowoho z waszoi chaty?
Szczo o horiwci u was czuwaty?

IWAN.
Oj kumku! jakeś żyw
Ne słychaueś takij dyw.
W tuju nedilu w cerkwy czytały,
Szczoby sia horiwki lude zrikały,
Szczoby albo ciło zanechały,
Albo sia prynajmij ne zapywały.
Jak świaszcze nyk to wpowiw,
Każdy, kto uczuw, osłoapiw.

STEFAN.
Ba! ta bo deżto i buty może,
Gde bez horiwki — a! sochrań Boże!
Praznyk! Chrestyny! Mij did, mij tato,
Podpiw sy w korczmi — w nedilu — w światо —
A! jabym sia ne napyw
Kołym sobi zapłatyw?
I nasz dobrodzij wse toje każe:
Jak kto upiesia, z bractwa wymaże.
Ałe nasz Josio bude sia hniwat'
Każe — szczo jemu ne tak zaśpiwat'
»Ja to« — każe — »kupyw was.«

IWAN.
Słuchaj szczo sia stało u nas:
W nedilu ludy w korczmu — szczo żywo;
Hryń aże »Berku! czy majesz pywo?
»Bo nam horiwku ne każut pyty.«
A Berko — nuże Hrynia hańbyty:
»Czy to za tia kto płatyt,
»Szczobyś ty pyw, szczo wełyt?
»Może za mene zapłatyt raty!«
A dali Hrynia za dweri z chaty,
A sam do dwora — pobih czym borsze,
Ałe wernuw-sia widtam szcze skorsze,
Tak, jak gdyby ho zdybaw bis —
Czomuś zczorniw, spustyw nis.

SAWA (przychodzi).

SAWA.
Sława ISUSU!

STEFAN. IWAN.
Na wiki sława!

STEFAN.
Czej nam prawdu skażut choć Sawa:
Czy tak konecznе bude
Szczob horiwki ne pyły lude?

SAWA.
Sły BOH łaskaw! to wże nit;
Bo propyw sia uweś świt.

IWAN.
Ba! a naszczoż to horiwku palat'
Naszczo wsi lude i Żydy chwalat'?

SAWA.
Aj lude! lude! jaki wy hłupci!
Palat', taj chwalat', boste wsi kupci.
Ne pyjte no — a za rik,
Ne bude jej łysz na lik.

IWAN.
Ja sam neznaju — szczo to sia stało:
Dawno pan mnoho — a chłop pyw mało.
Nyni — w horiwci chłopu ny miry,
A Żyd za toje dre ho ze skiry;
Szcze płuhawyt i hańbyt,
Chłop do toho zapłatyt.
Ja hajdukom buw w Kasztelana,
Szcze to w staroho neboszczyka pana;
Oj, pamiętaju — jak pryiżdżały
Panowe szlachta — tyżdeń hulały.
Szczo wypyły medu, wyn —
Dobu by tym mołow młyn!
Ne rażem widau jak czerewykom
Kasztelanowój, pyw jednym łykom
Stary pan Stolnyk a za nym hości
Wsi za poridkom na cześć Imości.
Oj, tak buło! jak'em żyw,
Rozsikły by — ktob' ne pyw;
Puhar w piw garca w obi rucz brały
I duhom pyły, druhi spiwały;
Kto do dna wypyw, toho chwałyły,
A na ostatku wsi sia popyły.
A gde kotry hiść*) upaw,
Tam do zautra perespaw.
Jakże pryszło sia wybyraty,
Na nowo pyły, aż lehły spaty.
Jak sia prespały, dopóty pyły,
Aż ich w kolasy powynosyły.
Nyni, w paniw wże ne tak:
Kazaw my Jać, nasz dworak,
Sły koły hości w dwir zawytajut,
Jakohoś wista w karty sy hrajut,
Pjut czystu wodu, taj lulki kurjat,
Gde koły — razom — wsi sia zażurjat; —
Jeden czytaje szczoś z gazet,
A druhy każe »pokiéń het!«
Potomu lokaj w kwartu ukropu
Proszku wkyne — czohoś hy kropu **) —
Taj toho waru hiść szklanku chłysne,
Burku przypasze, mycku natysne,
Trubków z huby dym, pyk, pyk,
Taj tychońku z dworu znyk. —
A chłop sia krywyt, złe mu sia dije,
A czoho pne sia, koł' pan ne smije!
Lit tomu sorok, ja moji Marti,
Sprawyw chrestyny pry jednij kwarti;
Dneś zhadaty — ta to strach!
Łedwo je — na chrepti łach,
Zaraz piet' garciw łysz na rodyny,
Desiet ne stane szcze na chrestyny,
Na wisile sziśdesiet mało!
Bo gdeż do łycha hroszy by stało!
Dast' bez hroszy Żyd na czas,
Ałe ztiahne i rub z was.
Niby to sławno, szczo kum, swach, husto,
A to ne sławno, szo wsiuda pusto?!
Worobci swyszczut w szopi, w obori,
Z hołodu hynut myszy w komori,
W chati nużda — BOŻE chrań!
Szcze toriczna stojat' dań.

---

*) Gość. **) Kopru.

Dity hołodni, prosto-wołosi,
Gazda, Gazdynia holi i bosi.
A szczo szcze hirsze tysieczy raza,
Duszam pohybel, BOHU obraza!
Kume! Swate! tak, jak stij
Zanechajte toj napij.
Ja szcze ne znaju, jak toto bude,
Ja tak prystanu, jak druhi lude.

STEFAN.

Ta wy panamy swojeji woli.

IWAN.

Bud'też i tworci własnoï doli.

SAWA.

Gde sumlinie — gde rozum,
Ne bud'te świtu na hłum!

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo - przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 24ty i zawiéra: 1) Okruchy torfowe dobrym są nawozem na łąki i pastwiska. 2) O gatunkach drzew owocowych zagranicznych, któremi sadownictwo krajowe poprawione być może. 3) Rozmaite sposoby robienia sérów. 4) Dalsze uwagi nad zagonami wązkiémi i wypukłémi. 5) Doświadczenie z grochem dawanym jagniętom. W odpowiedź na artykuł w nrze. 20. Tygodnika r. h. umieszczony. 6) Jeszcze słówko o młócarni pana Heilmana. 7) Wiadomości handlowe.

Dziennika mód paryskich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 13ty i zawiera prócz mód, następujące artykuły: 1) Wspomnienie z podróży. Dokończenie. 2) Swaty; powiastka przez Adama Gorczyńskiego. 3) Uwiadomienie redakcyi.

Nagana pijaństwa a pochwała wstrzemięźliwości w wszelkich okolicznościach użyteczna. W Bochni. Drukiem W. Pisza 1845. — Pod tym napisem wyszła jeszcze jedna książeczka w sprawie wstrzemięźliwości. Byłoby to nowém a pewnie nie ostatniém dobrodziejstwem téj zbawiennéj sprawy, gdyby przez pojawiające się w jéj obronie dziełka, tak niegdyś u nas obfita, a teraz zupełnie zaniedbana literatura pism dla ludu, do życia powróciła. Niniejsza »Nagana pijaństwa« jest jedném z tych dziełek, któreby poniekąd do tego celu posłużyć mogły. Składa się ono ze zbioru wierszy, które w trafnie uchwyconym tonie organistowskich kadencyj i oracyj, rozmaite szkody pijaństwa a dobroczynne skutki trzéźwości opiewają. Załączony obszerny list do Frydr. Hechell, dra. med. i profesora w uniwersytecie Jagiellońskim, z powodu jego pisma o pijaństwie znamionuje w autorze męża, który przy szczeréj gorliwości dla téj zbawiennéj sprawy ludu, gruntownie oraz nad nią się zastanawiał, i równie jak w ton ludu ugodzić umie, tak też i do światlejszéj publiczności przemawiać zdolen. — W końcu dodany jest wizerunek medaliku towarzystwa wstrzemięźliwości, wraz z rotą składanego przez zwolenników ślubu. — Wydanie Pisza, jak wszystkie jego wydania, bardzo staranne.

Z Warszawy. *Biblijoteka warszawska* na miesiąc czerwiec zawiéra: 1) O prawie własności ziemi, szczególnie zaś jéj wnętrza, podług dawnych praw polskich i przepisów dziś obowiązujących, przez Hier. Łabęckiego. 2) Wtorek i piątek, opowiadanie, przez Józefa Korzeniowskiego. 3) O użyciu głoski *j* w pisowni polskiéj, przez W. Ł. 4) Uwagi nad tym artykułem. 5) Kilka słów odpowiedzi na te uwagi. 6) O użyciu *j* w wyrazach *Anglja, Danja* i t. p., zdanie T. Kurhanowicza. 7) Jeszcze słów kilka o brakach, przez W. Kolberga. 8) Poezyje. Wilczek, przez A. Czajkowskiego. 9) O pomiarach wysokości miejsc przez uważanie współczesnych stanów barometru, przez J. B. Pusza. 10) Jeszcze uwag kilka o temperaturze źródeł i powietrza w Krakowie, przez tegoż. 11) Kronika literacka. 12) Rozmaitości. — Kronika zagraniczna — biblijografijna. — Doniesienia literackie.

Autografy Kościuszki. Redaktor pisma wiédeńskiego »*Wiener Zeitschrift*« dr. Francke, ma w swoim zbiorze autografów kilka własnoręcznych listów Kościuszki w języku francuzkim pisanych, z których jeden w powyższém piśmie, w tłumaczeniu niemieckiém na początku tego roku był umieszczony. Zbiéraczom narodowych pamiątek wiadomość ta nie będzie zapewne obojętną.

O niewłaściwém niektórych słów używaniu. Często zamiast dokąd, mówimy gdzie; zamiast ile, mówimy wiele? Zamiast pojdź, mówimy chodź; zamiast inny, mówimy inszy; zamiast rany, mówimy ranny; zamiast w domie, mówimy w domu. — Gdy idzie o miejsce, mówmy gdzie, gdy idzie o dążność ku miejscu, mówmy dokąd; — gdy idzie o ilość, pytajmy: ile? gdy mamy odpowiedź i możemy już osądzić, mówmy: wiele lub mało; — gdy idzie o zaraz i czas krótkiego dokonania, mówmy pojdź, gdy idzie o często, o czynność wielokrotną, powtarzaną, mówmy chodź; gdy idzie o dłuższy czas, mówmy idź. Wyrażenie: pójdź do mnie, znaczy tyle co: bądź u mnie; wyrażenie: chodź do mnie, znaczy tyle co: bywaj u mnie. — Gdy porównywamy jedno inne z drugiem innem, mówmy insze; — gdy idzie o zranienie, mówmy ranny, gdy idzie o wczesną porę, mówmy rany; — gdy idzie o budynek, mówmy w domie, gdy idzie że jesteśmy, lub coś mamy u siebie, mówmy w domu. *) *t. n. k.*

Użycie elektryczności w rolnictwie. Mocne wybuchy elektryczności są dla roślin szkodliwe; dzieje się często, iż piorun najpotężniejsze dęby rozdziéra. Przeciwnie, nie wiadomo jeszcze dotąd, jaki wpływ powolne działanie elektryczności wywiera, gdy na przykład podczas burzy rośliny niejako w elektryczności się kąpią. Niektórzy francuzcy naturaliści dawno już postrzegali iż pewne rośliny w takich chwilach nadzwyczajną działalność żywotnych sił objawiają; a mianowicie posiadacze winnic twierdzili, iż winna macica prawie widocznie pędzi, gdy powietrznia elektrycznością jest przesycona. Później zaprzeczano rzeczywistości tych postrzeżeń, przypisując pomnożoną w istocie czynność sił żywotnych w takich chwilach innym atmosferycznym wpływom, jakoto wilgoci, ciepłu i t. p.; owszem Becquirel udowadniał, iż użycie jakkolwiek słabego, nieprzerwanego prądu elektryczności, wykłuwaniu się roślin przeszkadza. — Otóż niedawno temu, przedsięwzięto w Szkocyi wielkie w tym względzie doświadczenie, a dziennik »*The Economist*« mniema, iż elektryczność wkrótce równie wielką zmianę w rolnictwie sprawi, jaką para w przemyśle rękodzielniczym sprawiła. — Chcąc wystawić

*) Np: Mieszkam w narożnym domie, a jestem zawsze wieczorem w domu (Doma) — U niego w domu, jak w publicznym domie, zawsze niespokojnie. — Spodziewają się całego książęcego domu, który będzie mieszkał w tym dużym domie; i t. d.

pole na działanie elektryczności, przedsiębierzę się następujące środki: Na cztéru końcach roli wbija się mocno cztéry żelazne pręty, i połącza się je żelaznym drutem, który bez przerwy całe pole obiega, będąc tylko o kilka cali od ziemi odległym. W pośrodku jednéj ze stron czworoboku umieszcza się jedno galwaniczne ogniwo, a z przeciwku, po drugiéj stronie, umieszcza się podobnież drugie, i łączy się oba pod ziemią bieżącym drutem. Ta, obydwa bieguny połączająca linija, musi tworzyć prosty kąt z równikiem, i ztamtądto rozchodzi się elektryczność po całém zewnętrznem kole. Utrzymują, iż może być z pożytkiem, jeżli po obu innych stronach pola druga bateryja z cynku i węgla się ustawi, tak, iżby połączający ją drut prostym kątem z drutem galwanicznéj bateryi się krzyżował. Podobne elektryczne przyrządzenie może najwięcéj 12 talarów kosztować a trwa lat dziesięć albo piętnaście, jeżli się je zawsze po żniwach wyjmie, a na wiosnę znowu ustawi. — Przy owéj, na dużém polu, w Szkocyi przedsięwziętéj próbie zebrano w żniwa prawie dwa razy tyle, jak na innćm, równie rozległém polu, które na działanie elektryczności wystawione nie było. To doświadczenie powinnoby uwagę posiadaczy ziemskich na siebie zwrócić.

Przeznaczenie. Utrzymują powszechnie, iż ludzie, którzy do odegrania ważnéj roli na scenie dziejów świata są przeznaczeni, sami to swoje wysokie powołanie przewidują, i ztąd przy nieprzyjaznych okolicznościach zręcznie przeczekać umią, aż na nich pora przyjdzie. Ztémwszystkiém znamy zanadto wiele przeciwnych przykładów, aby owo zdanie można za powszechne przyjąć prawidło. Cromwell chciał właśnie w amerykańskie wywędrować pustynię, gdy rozkaz Karola Igo w ojczyźnie go zatrzymał; Napoleon zamierzał w roku 1795 wstąpić w perską albo turecką służbę wojskową, gdyż nie zdawało mu się, jakoby w ówczesnym stanie rzeczy we Francyi mógł się czego spodziéwać; książę Wellington, będąc jeszcze podporucznikiem, był gotów wystąpić z wojska, i udał się w tym celu do lorda-namiestnika w Irlandyi, Cambden, prosząc go o jakąkolwiek posadę przy jednym z cłowych urzędów. W każdym z przytoczonych tutaj wypadków, jako też prawie u wszystkich wielkich ludzi, wpływały zewnętrzne okoliczności na wprowadzenie ich w ten zawód bohatérski, którego późniejsze tryjumfy i nadzieje obudziły w nich coraz jaśniejszą świadomość swojego przeznaczenia, aż wreszcie ośmieleni powodzeniem piérwszych zamysłów, wytknęli sobie metę, o któréj z początku zapewne ani marzyli, ani się im téż marzyć mogło.

Palenie cygarów w Hiszpanii. Słychać powszechnie iż nigdzie więcéj tytoniu nie palą jak w Niemczech; ale nierównie gorzej dzieje się to w Hiszpanii. Tam palą wszyscy i wszędzie. W najbardziéj eleganckich domach ujrzysz najznakomitszych panów z cygarem w ustach; po herbacie zapalają wszyscy, bez wyjątku, cygara, a nawet niejedna dama idzie za powszechnym zwyczajem. Owszem nawet przy sesyjach siedzą wszyscy rajcy miejscy z cygarami, które z kasy miejskiéj opłacane być muszą. W rachunkach miasta Kadyxu znajdowała się przeszłego roku suma 50 talarów, należąca się za cygara, przez jednego tylko z rajców miejskich wypalone. Jeżli jaki publiczny urzędnik w Hiszpanii urzędową podróż przedsiębierze, kładzie zawsze cygara pomiędzy koszta podróży. Chce jakie miasto ująć sobie załogę, to jéj tylko kilka pak cygarów daruje. Wiadomo jest, iż po teatrach wolno jest wszystkim palić; nową jednak rzeczą będzie się nam wydawać, iż od niejakiego czasu podobnież nawet w kościołach palić już zaczynają. Nierzadko zdarzy się widzieć żołniérzy, mustrujących się z cygarami w zębach, a wszyscy więźniowie, dezertery, bandyci, których w kajdanach do stolicy prowadzą, mają wprawdzie ręce na plecach związane, lecz wszyscy trzymają także zapalone cygara w ustach. Sami towarzyszący im żołniérze są im przytém chętnie pomocni.

Drożyzna na wodę w Paryżu. Podług doniesienia pisma czasowego »*Revue des Deux Mondes*« urządziło miasto Paryż 14 studzień, których abonenci płacą pół milijona franków za wodę, podczas gdy takaż sama suma od wodonoszów pobiéraną bywa. Ci wodonosze przedają wodę po czterykroć droższéj cenie, niż ją u studni kupują; a ponieważ tych wodonoszów nie więcéj jest jak siedmset, przeto można obliczyć, iż ten handel wodą każdemu z nich 2000 franków czystego zysku rocznie przynosi; przyczém ubodzy najwięcéj do tego zysku się przyczyniają, gdyż nie mogąc abonować się rocznie jak majętni, muszą cztéry razy drożéj płacić za wodę. Przed niejakim czasem ofiarowało się pewne towarzystwo zawrzéć ugodę z miastem i właścicielami, na mocy któréj obowiązywano się zaopatrzyć wszystkie mieszkania, aż do najwyższych piąter, wpuszczaną rurami wodą. Nie przyszło jednak do ugody, a to zapewne z obawy, aby trudniący się wodonoszeniem Owerniacy nie powstali przeciw temu nowemu urządzeniu, któreby ich tak zyskownego zarobku pozbawiło.

Zdarzenie prawdziwe. Do jednego z urzędników przychodzi niedawno człowiek i pyta go, czyby nie potrzebował służącego, który w razie potrzeby może wybornego kucharza zastąpić. Urzędnik zapytuje go o świadectwa, które tenże złożyć się obowiązuje. Na co urzędnik mówi: »Przyjdź do mnie w następującą niedzielę, będę miał kilka osób na obiedzie, a przekonam się, czy dobrze gotujesz.« — W niedzielę dodaje stróża zgłaszającemu się kucharzowi i wysyłą ich po wiktuały do miasta. Goście zjeżdżają się, bije godzina trzecia, obiad jeszcze nie gotowy; dopiéro między czwartą a piątą przynoszą obiad — stawiają na stoł zupę: — gorąca, tłusta woda! Następuje sztuka mięsa, pokrajana w drobne kawałki, z których każdy małym patyczkiem przetknięty. Zawstydzony gospodarz wpada do kuchni i woła: »Cóż to znaczy, czyżeś zwaryjował!« Biedny kucharz blednieje, mięsza się i odpowiada: »Tak panie, jestem teraz w szpitalu, gdzie pomagam w kuchni gotować.« — Urzędnik zasięga wiadomości i dowiaduje się, iż ten lokaj-kucharz był niegdyś w saméj rzeczy kucharzem, że dostał pomieszania zmysłów, i używany był w szpitalu waryjatów, jako nieszkodliwy obłąkany, do pomocy w kuchni tamtejszéj, gdzie mięso daje się na patyczkach, aby chorzy nożów nie używali.

Mylord Chesterfield, sławny z dowcipu, zachował aż do śmierci wesołość. Na kilka dni przed zgonem, będąc już bardzo słabym, wyjechał na spacer w karécie. Za powrotem ktoś go zapytał: »Cóżto milordzie, jeździłeś użyć świeżego powietrza?« — »Nie,« — odpowiedział — »odbywałem próbę mego pogrzebu.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.